

Mat wstał i szybkim krokiem zaprowadził nawigatora do łazienki.

– Posprzątasz tutaj trochę. Przetrzyj lustra i bulaje, wymyj zlewy i ogólnie zrób tu porządek, żeby tu lśniło, jak przyjdę odebrać rejony. Jak skończysz, przyjdź i zamelduj, że wykonałeś swoją pracę – mat odwrócił się na pięcie i zatrzęsął za sobą metalowe drzwi.

Nawigator został sam w dusznym, przepełnionym wilgocią pomieszczeniu. Szybko przystąpił do nowego zajęcia. Otworzył okrągłe okno i zajrzał do metalowych rynien, w jakich myli się marynarze. Twardą szczotką przemył drewniane deski leżące na metalowych płytach i splukał je wodą. Z metalowych zlewów wybrał resztki mydła i wrzucał je do kosza. Nagle otworzyły się drzwi i do łazienki weszło dwóch marynarzy. Rozglądali się spokojnie i podeszli do metalowych korytek. Odkręcając krany, spojrzeli na siebie i oddali się toalecie. Nawigator nieufnie spoglądał na myjących się, chociaż już po pierwszym rzucie oka dostrzegł, że są to młodzi marynarze, z najwyżej rocznym stażem służby w marynarce. Obawiał się, czy zostanie zaakceptowany przez załogę tego okrętu. Marynarze patrząc w lustra, otrzepywali wilgotne ręce i wycierali dłońmi twarze. Po chwili jeden z nich, odwracając się w stronę sprząającego, zapytał:

– Skąd jesteś?

– Z Zawiercia – odpowiedział.

– Gdzie to jest? – drugi ze stojących marynarzy przyglądał się nowemu uważnie.

– W województwie katowickim. A wy skąd jesteście?

– Nieważne. Na tym okręcie jest taki facet. Odchodzi już do rezerwy. Jest z Katowic, to chyba twój ziomal. – Nawigator ucieszył się w duszy, że zobaczy człowieka ze swoich stron. – Był z niego kawał chuja, my cię tu zagębimy.

– Niejednemu załazł za skórę. Nie wyjdiesz z zęzy, jak wpłyniemy do stoczni – powiedział drugi marynarz i dodał: – Mat z Katowic niedługo odejdzie. Odplacimy ci wszyscy za to, że nas ścigał. Pożałujesz, że kiedykolwiek postawiłeś swoje nogi na tym okręcie. Facet, żebyś ty wiedział, jak on mnie ścigał. Ja ci tego nie daruję, będzie ci pot spływał po tyłku.

Nagle otworzyły się drzwi do łazienki. Stał w nich dobrze zbudowany, wąsaty mężczyzna z niewielkim brzuszkiem. Potężny rezerwista, ubrany w moro, z popuszczonym pasem i beretem przesuniętym na tył głowy, spojrzał mściwym spojrzeniem po marynarzach zgromadzonych w łaźni.

– Co jest, „baniaki”, do roboty, ale już! – ryknął gardłowym głosem. – Skąd jesteś? – zwrócił się do nowego marynarza.

Okrętowa młodzież szybko i po cichu opuściła łazienkę, czując respekt przed rezerwistą.

– Z Zawiercia.

– To jesteście ziomalami. Ja jestem z Katowic – powiedział rezerwista, nie wyciągając rąk z kieszeni. – Będziesz chyba garował na tym okręcie? Jaką masz specjalność?

- Jestem nawigatorem.
- Byłeś kiedyś w Katowicach?
- Byłem kilka razy.

– Będziemy mieli trochę czasu, żeby sobie porozmawiać, zanim odejdę do rezerwy. – Kopnął stojący na środku łazienki kosz ze śmieciami i odchodząc, powiedział: – Bierz się do roboty i sprzątaj porządnie rejon, żeby nikt nie miał do ciebie pretensji, bo będę cię musiał przegonić. A nie chciałbym tego robić, jestem już prawie cywilem.

Wyszedł szybko. Młody „baniak” zabrał się szybko do zbierania wysypanych śmieci. Został sam ze swoimi myślami, w jego sercu zagościła trwoga. Zaczął się bać nowych kolegów. Wiedział już, że marynarze z tego okrętu nie zaakceptują go w swojej grupie. Wieść o przybyciu nowego członka załogi rozeszła się po okręcie lotem błyskawicy. Nawigator zastanawiał się, czy wiedzieli, że był podchorążym. Grzegorz nie był typem twardego człowieka. Miał serdecznie dość okrętu, na którym się znalazł, już pierwszego dnia, po pierwszej rozmowie z marynarzami. Siadł na koszu na śmieci i spuścił smutno głowę. Patrząc na wilgotne deski drewnianej podłogi, oczami bujnej wyobraźni zobaczył stalowy kadłub, stojący w stoczni, rozpruty, a dookoła niego pracujących marynarzy w drelichach, którzy razem ze stoczniovcami wyciągają z wnętrza zepsute podzespoły, rury i przewody.

„Ciekawe, czy po skończonej pracy trzeba jeszcze sprzątać rejon”, pomyślał smutno, przelatykając ślinę i powstrzymując napływające do oczu łzy.

Wstydził się swojej słabości i starał się szybko otrząsnąć. Nie bał się pracy fizycznej. Uczył się w szkole samochodowej. Poznał smak potu i jak wyglądają brudne od smaru ręce. Bardziej niż ścigania i ciężkiej pracy bał się, że nie wypłynie w daleki rejs. Zazdrościł swoim kolegom, że ich okręty nie płyną do stoczni i będą mogli pływać po Morzu Bałtyckim, a może i dalej.

„Trzeba się szybko pozbierać, bo się zaraz rozkleję”, powiedział sam do siebie.

Gdyby ktoś zobaczył go ze łzami w oczach, byłby skończony i poniżony przed całą załogą. Na taką chwilę słabości czekało wielu ludzi, by rzucić się jak sępy na słabą osobowość. Ruszył do swoich zajęć i jeszcze raz dokładnie posprzątał swój rejon. Samotne rozmyślenia przerwał podoficer dyżurny.

- Skończyłeś już sprzątanie rejonu?
- Tak jest.

– To chodź do mnie. Przyszły nowe rozkazy z dowództwa. Masz się stawić po kolacji na ORP 802. Zanieś śmieci na rufę i idź na desant. Po kolacji zgłoś się w dyżurce. Dostaniesz dokumenty, które ze sobą przyniosłeś. Popływasz sobie trochę, to bardzo dobry okręt. Mam tam kumpla z mojego rocznika. – Po chwili już go nie było.

Czas na ORP 808 płynął szybko. Nowy członek załogi zakładał wieczorem swój wyjściowy mundur i szykował się do opuszczenia okrętu. Nie poznał nawet

imion załogi. Tuż po kolacji stawiał się przed podoficerem dyżurnym i ruszył w nową drogę z workiem na plecach. Mat pełniący służbę podał mu rękę na pożegnanie i prosił, aby pozdrowił kolegę z 802. Podniesiony na duchu schodził z trapu, po którym kilka godzin wcześniej wchodził na okręt. Cieszył się, że odchodził od ziomka, za którego winy miał być gnębiony. Zawiercie i Katowice – to dwa różne miasta, oddalone od siebie o dziesiątki kilometrów i nikt z mieszkających w nich nie nazywał mieszkańca drugiego miasta „ziomkiem”. Radość przepełniała młode serce, że za chwilę wejdzie na najlepszy okręt w dywizjonie, jak go określił mat. Cieszył się, że będzie nareszcie pływał i zostanie wilkiem morskim, ujarzmiającym morskie fale.

W porcie zapadała szarówka, padał mokry śnieg. Wiatr nawet na przez chwilę nie przestawał pokazywać swojej siły, a wirujące wokół szarych kadłubów płatki śniegu pozostawiły niezatarte wspomnienie w wyobraźni marynarza. Olbrzymi kadłub rozcinał burzę śnieżną i wyglądał, jakby płynął nocą po wzburzonym morzu. Białe puchy z ogromną prędkością frunął wzdłuż burt i unosił się w górę za rufą okrętu, udając spienione morskie fale. Śnieg szybko topniał i po chwili nie było po nim śladu. Marynarze pełniący wachtę na pokładach okrętów kurczyli się w „moleskinach”, wypatrując oficerów, którzy w każdej chwili mogli wejść na pokład. Dyżurujący oficer pełniący służbę przy nabrzeżu w małej budce, oglądał w świetle lampki nocnej jakieś dokumenty. Był całkowicie pochłonięty swoją czynnością i nie zwrócił uwagi na przechodzącego marynarza. Zresztą trudno by go było zobaczyć w czasie burzy śnieżnej, jaka szalała w porcie. Szybko odnalazł nowy okręt, stojący tuż przy brzegu, i od razu poczuł do niego sympatię. Podoficer dyżurny ciepło przyjął nowego marynarza i ucieszył się z przybycia nowego członka załogi. Marynarz posłuszny poleceniu podoficera zostawił dokumenty i szybko udał się na desant, gdzie zobaczył kilku młodych żołnierzy, którzy niedawno przyjechali do Świnoujścia z Centrum Szkolenia Specjalistów Morskich w Ustce.

Ucieszył się bardzo, gdy zobaczył kilku młodych kolegów w mundurach wyjściowych, bo nie zdążyli odebrać mundurów moro. Wiedział, że będą razem dzielili ten sam los, a w grupie będzie im łatwiej. Pojedynczy człowiek ściągał na siebie uwagę wszystkich i ciężiej był karany. W ławicy – jak mawiali – łatwiej było się ukryć i uniknąć kary, którą często obdzielano grupę. Szybko się poznali i zaczęli się wzajemnie wspierać, podpowiadając sobie, jakimi chodzić drogami, po labiryntach marynarskiej służby.

– Skąd jesteś? – zapytał nawigatora jasnowłosy mężczyzna.

– Z Zawiercia. A ty, skąd jesteś?

– Z Białogardu. Jestem radarzystą. Tamten jest mechanikiem – wskazał przestraszonego siedzącego marynarza. – Ten drugi jest artylerzystą. Następny na koi chemikiem. A on jest też artylerzystą, przydzielili go do wyrzutni rakiet.

Podali sobie dłonie na przywitanie.

– Darek jestem – powiedział radarzysta.

– Ja mam na imię Andrzej – wysoki artylerzysta kaszłał, podając dłoń. – Jestem z Bydgoszczy.

– Jak tu jest? – zapytał nawigator.

– Na razie jest stara rezerwa i młodych nie wolno ścigać. Ale mechanik już jeździ na szmacie w maszynowni. Goni go taki „dziadek” z Zamościa. Już po kilku dniach nikt z młodych go nie lubi.

Niski artylerzysta, który był strzelcem broni pokładowej i obsługiwał automatyczne działka, zbliżył się wolno i powiedział:

– Nie dyskutuj z rezerwą i najlepiej nie chodź na rufę. Starzy mają tam palarnię i jak tylko się tam ktoś pojawi z młodych, zaraz płacą parole, blachy i karczycha, czasami można dostać kopa i stamtąd najczęściej trafia się na rejony poza kolejnością. Tylko tam wolno palić na okręcie. Jest jeszcze jeden młody z nami. Sygnalista, ale nie ma go w tej chwili. Poszedł do kibla.

– No właśnie, gdzie jest kibel na tym okręcie? Jeszcze nie miałem okazji gościć w ubikacji – zapytał nawigator, nieznający jeszcze dobrze okrętu, na którym przebywał od kilku godzin. A przysiągł sobie, że nie będzie nigdy chodził na rufę bez potrzeby, aby nie prowokować rezerwistów do wybuchów gniewu.

– Na rufie – odpowiedział, śmiejąc się, niski artylerzysta. – Mam na imię Stasiek. Pochodzę ze wsi w Wielkopolsce. Lepiej tam nie chodź, zaraz się do ciebie przyczepią i jeszcze dostaniesz po łbie. Idź się lepiej odlej do ładowni. My tak robimy.

Zapadła chwila milczenia. Po kilku słowach, które zmienili, nawigator natychmiast polubił Ledkiego, Mogiłę i niskiego artylerzystę. Za kilkanaście dni do grupy baniaków miał dołączyć jeszcze jeden kolega.

– Zajmij sobie koję. Te, na których leżą berety, są już zajęte. Idziemy zapalić – Mogiła ruszył do ładowni.

Andrzej z Darkiem wyszli do obszernej ładowni, znajdującej się kilka kroków dalej. Urządzili sobie w ładowni małą palarnię, w której podpalali papierosy kupione czasami w kantynie. Niebawem do ich grona miał dołączyć też nawigator. Papierosy na okręcie znikwały w szybkim tempie, szczególnie gdy okręt wyszedł w morze. Nałogowcy przeżywali wtedy ciężkie chwile, gdy zabrakło im papierosów. Ratowano się, jak kto mógł. Pożyczano i sprzedawano paczki, wymieniano je również za inne towary..

Nawigator zajął sobie jedną z koi, leżały na niej już jego rzeczy oraz górna część munduru. Ciszę, jaka zapadła na desancie, przerwało pojawienie się sygnalisty, tupiącego butami po zejściówce.

– No i jak, przegonili cię starzy? – pytał ciekawy artylerzysta.

– Dostałem parę paroli, kilka blach i karczych. Musiałem też zrobić karpia – sygnalista drżącym głosem opowiadał o swoich przeżyciach na rufie.

– Jak się odbiera karczycha, parole i blachy, to pewnie wiesz, kopniak też chyba nie ma dla ciebie tajemnic, a wiesz, jak się robi karpia? – zapytał artylerzysta Marek nawigatora.

– Nie.

– Pokaż mu – powiedział artylerzysta do sygnalisty. – Musisz się nauczyć robić karpia, żebyśmy nie podpadli starym. Jak któryś z młodych podpadnie, to czasami stare wojsko ściga wszystkich za jednego.

Sygnalista wywrócił otwarte oczy i poruszając otwartymi ustami, udawał karpia wyciągniętego z wody, łapiącego wargami powietrze. Mechanik milczał i nie odzywał się prawie wcale.

– Rezerwa nie goni nas prawie wcale. Nic ci nie robią. Musisz tylko wiedzieć, ile dni im pozostało do końca służby. Jak nie będziesz wiedział, to wtedy mogą cię przegonić – artylerzysta dużo wiedział o okrętowym życiu.

– A ile im zostało do końca? – nawigator zapytał niepewnie.

– Czternaście dni – przemówił chemik.

– Pokażemy ci, którzy to rezerwiści. Musisz też znać marynarzy należących do wicków i starszych baniaków – sygnalista był bardzo poważny.

Sygnalista wyglądał na małomównego i spokojnego marynarza. Wysokie czoło, silny podbródek, dobrze zbudowany, zdradzały silną osobowość. Unikał starych marynarzy i rozmów z nimi. Kiedy tylko miał okazję, uciekał na pomost bojowy, gdzie miał swoje stanowisko bojowe i chorągiewki do rozmawiania kodem z innymi okrętami.

Marek artylerzysta był niskim szczupłym marynarzem. Zawsze był przestraszony, taki miał wygląd twarzy. Gdy rozchylił usta, wydawało się, że szuka ratunku jak ryba wyciągnięta z wody.

Chemik miał osobowość samotnika. Spokojny, ospały, inteligentny i kulturalny. Umiał się schować, wkraść w łaski starych marynarzy załatwieniem kilku spraw na przepustce i przekupstwem. Na okręcie panowała opinia, że opłacał się za przepustki prezentami, kupionymi na mieście. Rozmowę marynarzy przerwał tupot butów podoficera dyżurnego:

– Baniaki, zbiórka na korytarzu! – krzyknął do wnętrza pomieszczenia dla desantu.

Baniaki szybko wybiegli z desantu i ustawili się w szeregu na korytarzu. W szeregu czekali na polecenia podoficera, spieći i przestraszeni. Na długim korytarzu panował półmrok. Świeciły się żarówki, ale wydawało się, że światła jest mało. Oświetlenie awaryjne oszczędzało energię, dlatego na korytarzu była przynębiająca atmosfera. Podoficer mówił:

– Pójdziecie teraz na pomieszczenie oglądać „Dziennik Telewizyjny”. Macie się zachowywać cicho i z szacunkiem odnosić do odchodzącej rezerwy. Jak mi się rezerwa na was poskarży, to nie zaśniecie do rana! Zrozumiano?

– Tak jest, obywatelu mat – odezwały się razem baniaki.

– Biegiem na pomieszczenie rufowe. Razzz...! – podoficer krzyknął, patrząc na biegnących marynarzy.

Młodzież okrętowa biegła na rufę. Po chwili dudnili butami po stromych zejściówkach. Pomieszczenie mieszkalne na rufie zajęte było przez odchodzącą

i nową rezerwę. Po kilku regulaminowych zwrotach młodzi marynarze dostali pozwolenie na zajęcie siedzących miejsc. W małym pomieszczeniu stłoczyła się prawie cała załoga okrętu, oczekując na rozpoczęcie „Dziennika Telewizyjnego”. Rezerwa nie przejmując się pojawieniem nowego wojska, zajmowała się swoimi sprawami, rzadko spoglądając na siedzących. Oglądali wykonane przez siebie z mosiężnej blachy sylwetki okrętów desantowych. Pięknie wykonane kotwice błyszczały złościście, odbijając ostre światło lamp jarzeniowych. Rezerwiści jeszcze starannie dopieszczali pamiątki, czyszcząc je pastą polerską lub polerując flanelowym materiałem i wzbudzając tym podziw nowych marynarzy. Szybko zrobiło się duszno. Ktoś zakomenderował:

– Otwórzcie górny właz, bo się podusimy.

Przez otwarty właz natychmiast wpłynęło świeże, zimne powietrze. Wszyscy odetchnęli głębiej, a rezerwiści leżący w kojach okryli się kocami. Kilkunastu marynarzy, wpatrując się w czarno-biały odbiornik, zachowywało całkowite milczenie. Wyczuwało się jakieś napięcie. „Dziennik Telewizyjny” przykuł uwagę siedzących marynarzy. W wojsku było to wydarzenie centralne i wszyscy słuchali z uwagą informacji z kraju i ze świata.

Przygaszono światło, zapalając oświetlenie awaryjne, co stworzyło miłą i rodzinną atmosferę, do pomieszczenia wchodził kolejny marynarz, siadając gdzie kto mógł. Nowy członek załogi rozglądał się czujnie po pomieszczeniu i po twarzach ludzi, których widział pierwszy raz w życiu. Pomieszczenie było ciasne ale funkcjonalne. Kilkanaście koi ustawionych jedna nad drugą, trzy w jednym rzędzie, odgradzonych było metalowymi łańcuchami od wąskich przejść, jakimi marynarze udawali się na spoczynek do swoich łóżek. Każdy wiedział, że surowy łańcuch miał ważną funkcję. Przytrzymywał śpiącego w koi człowieka przed wypadnięciem z łóżka w czasie dużych fal, pojawiających się czasami na morzu. Małe szare szafki, zajmujące jedną ścianę, mieściły cały dobytek marynarzy i czasami, gdy byli na morzu, dochodził z ich wnętrza odgłos przewracających i przesuwających się przedmiotów. Zamknięte na kłódkę małe zamki, strzegły swej zawartości przed ciekawskimi. Przykręcone do podłóg metalowymi śrubami ławki i stoły wyglądały wyjątkowo solidnie i służyły wielu pokoleniom marynarzy. Nagle jeden z siedzących po drugiej stronie stołu marynarz zapytał nowo przybyłego nawigatora.

– Młody, skąd jesteś?

– Przyjechałem z Gdyni – nowy chciał powtórzyć swoją sztuczkę z poprzedniego okrętu.

– To, ty nie byłeś w Ustce? – zapytał marynarz w stopniu mata.

– Nie.

– Pływałeś już na jakimś okręcie?

– Pływałem już trochę. Ale to były rejsy szkoleniowe, na bardzo małych okrętach. Kilka razy mniejszych od tego. Ale za to porządnie na nich bujało – rozmowa stawała się przyjemna.

– Jak masz na imię? – pytał wciąż ten sam marynarz, dobrze zbudowany mat.

Mat ważył prawie dziewięćdziesiąt kilogramów. Lekko różowa skóra na twarzy zdradzała, że ma duży temperament. Grubokościste rysy twarzy i duży tors sprawiały, że każdy czuł respekt przed matem.

– Grzegorz.

– Ja mam na imię Czesiek – wyciągnął rękę na przywitanie, a po grzecznościowym uścisku pytał dalej:

– Skąd pochodzisz?

– Z Zawiercia.

– To ty mój ziomal jesteś. Ja jestem z Ryczowa. Jest tu ze mną na okręcie jeszcze jeden chłopak, jest z Rodak. Zawołaj Kurskiego, niech tu przyjdzie poznać się z ziomalem. – Jeden z marynarzy wybiegł z pomieszczenia.

Starszy marynarz, wysoki, o ostrych rysach twarzy i jasnych włosach za chwilę wrócił z Tomkiem. Tak miał na imię marynarz z działu artyleryjskiego, podkomendny Cześka.

– Ziomala mamy. Jest z Zawiercia – Czesiek wskazał palcem na siedzącego Grzegorza.

– Jaką masz specjalność? – pytał jasnowłosy Tomek.

– Jestem nawigatorem.

– Dużo masz służby? – Czesiek uśmiechał się.

– Dziewięć miesięcy – odpowiedział Grzegorz. Wiedział, że dla marynarzy służby zasadniczej czas spędzony w wojsku jest najważniejszy.

– Dziewięć miesięcy? – zapytał jeden z marynarzy leżących na kojach. – To z jakiego ty jesteś poboru?

– Poszedłem do wojska w lipcu – nawigator grał na zwłokę.

– Musieli chyba urządzić jakiś dziki pobór – odpowiedział ten sam marynarz.

– Gdzie chodziłeś do szkoły? – pytał Czesiek.

– Do samochodówki.

– Ja też chodziłem do samochodówki. Kto cię uczył?

– Technologii uczył mnie Cholewka, a... – nie zdążył dokończyć zdania.

– Kurski też chodził do samochodówki. Nie będziesz tu miał źle z ziomalami. Chyba że będziesz się stawiał lub podpadał. Nasz okręt wyjątkowo dużo wychodzi w morze, to sobie popływasz. Masz chorobę morską?

– Nie – po krótkim rejsie na małym chybottliwym okręcie nawigator wiedział, że nie cierpi na tę straszną dla każdego marynarza chorobę i nie musiał oddawać hołdu Neptunowi za każdym razem, gdy wypływali w morze.

– Szkoda, że nie jesteś artylerzystą – powiedział Tomek. – My z Cześkiem jesteśmy artylerzystami. Poznaj Pawła. Jest artylerzystą i przydzielono go do mojej wyrzutni rakiet. Też jest młody, jak ty.

Szczupły krępy mężczyzna przywitał się z nawigatorem i na chwilę zapadła cisza. Tomek był krępy marynarzem średniego wzrostu, przystojnym; niebie-



skie oczy i jasne włosy przyciągały uwagę kobiet i zawsze był w centrum zainteresowania. Silny charakter i agresja pomogły mu zająć odpowiednie miejsce w marynarskiej hierarchii.

– Obok siebie masz kolegę, który też jest nawigatorem. Jest starszy służbą o sześć miesięcy od ciebie – Czesiek mówił, patrząc na telewizor.

Grzegorz spojrzał na niższego od siebie kolegę, o ciemniejszej karnacji. Lekko kręcone włosy przypomniały mu szkolnego kolegę, zwanego aniołeczkiem lub amorkiem. Gad, bo tak nazywał się starszy nawigator, miał jednak włosy ciemnego koloru.

– Dobrze, że przydzielili cię na nasz okręt. Trochę odetchniemy, do tej pory pełniliśmy wachty we dwóch, w morzu. Jest tu jeszcze jeden nawigator, ale ma na pagonach cztery paski – powiedział Karol.

Krótko po tej rozmowie najmłodszy nawigator przekonał się, jak ciężko pełni się wachty na morzu, gdy nie ma pełnej obsady wszystkich stanowisk. Rozmowa przeciągała się. Przerwało ją nagle dudnienie podkutych butów podoficera dyżurnego, szybko zbiegającego po zejściówce do pomieszczenia rufowego. Marynarze spojrzeli na stojącego w drzwiach mata, który szybko powiedział:

– Chłopa, ten nowy był w szkole oficerskiej!

– Ty byłeś w szkole oficerskiej w Gdyni? – zapytał Czesiek.

– Tak – nawigator czuł na sobie spojrzenia kilkunastu par oczu, przyglądających się z ciekawością reakcji młodego marynarza na zadawane pytania.

– Chciałeś być trepem? – Czesiek chciał się dowiedzieć wszystkiego.

– Tak – nawigator nie wiedział, co ze sobą zrobić. Na jego twarzy pojawiły się wypieki.

– Ciiooo...? – syknął przez zęby ktoś za jego plecami, w stopniu mata, śpiący na koi tuż przy szafkach i naprzeciw wejścia do pomieszczenia. – Jaką ty masz specjalność, marynarzyku?!

– Jestem nawigatorem.

– Szkoda, że nie mechanikiem. Ja bym cię docenił. My tu wszyscy pełnimy służbę trzy lata za darmo, a oficerowie nas ścigają. Nie można nawet wyjść na przepustkę. O, nie będzie ci tu lekko – mat poruszył się nerwowo na koi.

– To ty na ochotnika do wojska poszedłeś? – pytał Czesiek.

– Tak.

– Masz chyba nie po kolei w głowie – powiedział ten sam wąsaty rezerwista. – Ja już do cywila wychodzę, ale nigdy bym do wojska na ochotnika nie poszedł. Nigdy już nawet do tego miasta nie przyjadę, po tym, co mnie tu spotkało przez tych kilka lat. Wy, macie szczęście, baniaki. Teraz jest na tym okręcie inaczej. Żebyście wiedzieli, jakie tu było ściganie, gdy my byliśmy młodzi. Pamiętasz Wincent, Tarkowskiego.

– Pamiętam – odezwał się leżący na koi otyły rezerwista.

– Jakie tu wtedy były dziadki. Przy niektórych trzeba sobie było wyciągnąć



ciulika i się nim bawić, na zawołanie. Tak im szajba biła, po dwóch latach służby na okrętach.

Wszyscy młodzi ucieszyli się, że pełnią służbę teraz, a nie kilka lat wcześniej. W sercu nawigatora zagościła niepewność, po wcześniejszej radości ze spotkania z ziomkami. Czuł, że jest źle i że może być jeszcze gorzej. Z wcześniejszych opowiadań nasłuchiwał się, że w marynarce jest ciężko, a byli podchorążowie traktowani są z pogardą. Nie miał żadnego stopnia i żadnej klasy w swojej specjalności. Musiał szybko nadrobić to, czego inni marynarze uczyli się przez pół roku.

– Ja kilka lat odrabiałem wojsko w kopalni na dole. Byłem górnikiem, a trepy wzięły mnie do wojska, i to jeszcze do marynarki na trzy lata – Czesiek był wściekły, gdy pomyślał o swoim poborze.

– Może chcieli, żebyś się dotlenił po tych kilku latach pracy na dole. Zadbali, żebyś się pylicy nie nabawił i zafundowali ci darmowe wczasy nad morzem – mówił jeden z odchodzących do cywila marynarzy. Tylko oni czuli się spokojnie i byli całkiem rozluźnieni.

– Wiesz co to znaczy tyrać kilka lat, świątek, piątek, na dole i potem iść do wojska na trzy lata! – Czesiek wybuchł gniewem..

Twarz Czeška pokryła się czerwienią. Wewnętrznie się w nim gotowało. Wściekłość i agresja przemawiały w wyrazie jego twarzy, ust i oczu. Każdy kto go widział, poczuł natychmiast obezwładniający go strach.

– Wiem, obywatelu mat – szeptał przestraszony marynarz.

– Chuja wiesz! A do starszych od siebie służbą i stopniem mówi się na okręcie starszy! Nie „obywatelu mat”, baniaku jeden! Możesz mówić mat do mata, na służbie i w obecności kogoś z kadry zawodowej! Nigdy w innej sytuacji! – krzyczał Czesiek.

– Musisz sobie to dobrze wbić do mózgowicy, bo jak cię ktoś lunie w baniak, to się krwią zalejesz. Zrozumiałeś? – krzyknął jeden z okrętowych dziadków.

– Wiesz jaki numer burtowy ma nasz okręt? – pytał leżący marynarz.

Nagle sytuacja stała się bardzo napięta, wszystkie inne do tej pory prowadzone rozmowy ucichły. Kilkanaście par oczu spoglądało na rozmawiających marynarzy. Zdenerwowany nawigator starał się opanować swoje emocje. Czuł narastające ciepło i wilgotny pot pojawił się na czole nowego członka załogi. Policzki oblał rumieniec. Wstydził się, że nagle zdenerwowanie stało się widoczne dla wszystkich.

– Wiem, starszy – powiedział krótko i z należnym starszemu służbą szacunkiem. Myślał, że otrzyma łagodniejszą karę, którą za chwilę miał być obdarzony.

– Jaki?

– Osiemset dwa.

– To stawaj tu, chuju, pod szafkami i dalej, dymaj osiemset przysiadów – starszy dyszał złością. – No co się tak na mnie patrzysz?! Nie słyszysz czy co, baniolu?! – węsaty mat był wściekły.

W całkowitej ciszy nawigator wstał z ławki. Spojrzał na mata leżącego na koi, bardziej czającego się do skoku jak pantera niż leżącego. Patrzył na mata przez chwilę. Wymieniali spojrzenia, patrząc sobie prosto w oczy. Grzesiek wiedział, że musi zrobić przysiady, ale patrzył w oczy mata z niedowierzaniem. Stał obok rzędu szafek i zaczął odrabiać nałożoną przed chwilą karę, początkowo zaszokowany ogromną ilością przysiadów, jakie miał zrobić. Nigdy wcześniej nie zrobił więcej niż pięćdziesiąt i nie wierzył, że zrobi więcej. Starał się nie pokazać słabości pierwszego dnia. Chcieli pierwszego dnia złamać nowego marynarza. W duszy zawział się i szybko robił przysiady, starając się jak najmniej męczyć w trakcie wykonywania tych ćwiczeń. Patrzył na leżącego marynarza i starał się go nie słuchać. Oddychał głęboko, pragnąc wewnętrzną siłą zaimponować rezerwistom i cywilom. Liczył oddechy i opuszczał się w dół nie używając sił mięśni nóg. Pięćdziesiątka bardzo szybko minęła i zbliżał się do setki. Welniany sweter, który miał na sobie rozgrzewał go porządnie, po plecach spływały pierwsze krople potu. Oddech zrobił się szybki. Starał się nie myśleć o zmęczeniu i żeby zagłuszyć głosy wściekłych i obojętnych marynarzy, przeszkadzających młodemu marynarzowi w koncentracji, licząc oddechy, mówił do siebie w myślach: „Dam radę, muszę zrobić te przysiady. Dam radę. Zrobię osiemset przysiadów”.

Kryzys pojawił się przy dwustu przysiadach. Mięśnie zaczynały drętwieć, a wyciągnięte ręce opadały. „Jeszcze trochę, jeszcze kilka przysiadów”, w głowie kołatały tylko te myśli. Nagle bolesna bariera została przekroczona, a odrabianie kary stało się lżejsze. Chociaż pocił się już porządnie, licząc na głos przysiady, a po cichu oddechy, nie myślał o niczym jak tylko o chwili, aby wspiąć się do góry siłą mięśni i z jak najmniejszym wysiłkiem opaść na dół. Szybko nauczył się obserwować swój organizm i swoje reakcje jak pokonać zmęczenie przy wykonywaniu tego ćwiczenia. Miało to być dla nawigatora bardzo pomocne przy odbywaniu dalszej służby.

Jak wybawca pojawił się w pomieszczeniu jeszcze jeden członek załogi i dostrzegł trenującego baniaka. Mat z okazałym wąsem odchodzący do cywila. Zatrzymał się po wejściu na pomieszczenie. Patrzył z niedowierzaniem na przedstawienie, jakie odbywało się na pomieszczeniu mieszkalnym.

– Młody, odbój. Siadaj i oglądaj telewizję! – ryknął. – Kto mu kazał robić przysiady?

– Ja – odezwał się mężczyzna na koi.

– Gorzej ci, Kos?! – pytał podniesionym głosem. – Stara rezerwa jeszcze nie odeszła, a ty się już bierzesz za ściganie młodzieży. W głowie ci się poprzewracało?! Jak chcesz, to ja cię przegonię? Chcesz?

– Jest po szkole oficerskiej. Kazałem mu zrobić numer burtowy.

– Niech będzie, po jakiej chce szkole. Młodzi są teraz pod ochroną, a słowo „cywilów” jest świętością. Zrozumiano?!

Marynarz na koi nie odezwał się nawet słowem. Leżał spokojny i nieporu-

szony. Zaciął hardo zęby i patrzył tępo w telewizor. Oczami ciskał błyskawice w ekran, ale zaciskając zęby, milczał. Zapadła cisza, przerywana tylko słowami spikera telewizyjnego.

Cywil w dresie, wybawca nawigatora, spojrzał na niego i przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Podszedł do koi i siadł na szarym kocu, którym była przykryta. Nawigator z szacunkiem i wdzięcznością patrzył na swojego wybawcę. Już pierwszego dnia mógłby się załamać. Osiemset przysiadów to wielki wysiłek, a niewiele mu brakowało do numeru burtowego okrętu. Rezerwista dał mu więc czas, aby się przygotować do nowej sytuacji. Strugi potu spływały po czole i plecach marynarza. Wełniany sweter izolował ciało i chciał go szybko zdjąć. Oddech uspokajał się powoli, chociaż płuca wciąż falowały niespokojnie i wyrzucały na zewnątrz gorące powietrze. Rozgrzane mięśnie drgały z wysiłku i wolno się kurczyły. Marynarz patrzył na nabrzmiałe żyły na dłoniach i na spadające z twarzy krople potu. W ustach pojawiła się natychmiast suchość. Dziękował w myślach swojemu wybawcy, gdy nagle padła komenda:

– Koniec „Dziennika”! Baniaki, wypierdalać się z pomieszczenia! – stary marynarz krzyknął na młodych.

Młodzi przywitani te słowa z radością. Wstali w milczeniu i szybko stłoczyli się pod zejściówką. Każdy chciał jak najszybciej zniknąć starym marynarzom z oczu. Wbiegając na górę, nawigator czuł pierwsze skurcze mięśni. Cała paczka zatrzymała się w palarni.

– Czekajcie, chłopaki – powiedział Mogiła. – Zapalimy. Starzy będą teraz oglądali telewizję. Będziemy mieli chwilę spokoju – wyciągnął papierosy z kieszeni i częstował kolegów.

– Chłopaki, powiedzcie mi, gdzie jest kibel – nawigator chciał jak najprędzej poznać miejsca, które będzie odwiedzał najczęściej.

– Za tamtymi drzwiami jest ubikacja – odezwał się chemik, wskazując najbliższe drzwi.

Nawigator szybkimi krokami skierował się do miejsca, w którym mógł załatwić swoje potrzeby fizjologiczne. Zatrzasnął stalowe drzwi i rozejrzał się po maleńkim pomieszczeniu. Zdziwił go brak muszli klozetowej, jednak narastające parcie na pęcherz nie pozwalało się długo zastanawiać, jak się załatwiać do płaskiej rynienki z dziurą w środku. Nowego kształtu muszla klozetowa lśniła czystością. Opierając się o burtę, przez okrągły bulaj patrzył na stojące po drugiej stronie portu trałowce. Ich szare kształty zlewały się na tle nocnego nieba i trudno było dostrzec szczegóły wyposażenia tych dużych okrętów. Szybko pozbył się nadmiaru płynów fizjologicznych i weselszy wyszedł z ubikacji.

– Jak ci się podoba kibelek? – zapytał Ledki.

– Trochę dziwny. Przyzwyczajony jestem do innego kształtu muszli klozetowej. Ale można się tam załatwić.

– Nazywają go skoczną – Mogiła uśmiechał się, zaciągając się dymem tytoniowym. Trzymał w ręku paczkę z papierosami. – Zapalisz?

– Nie. Ja nie palę – Grzegorz obiecał sobie w trakcie robienia przysiadów, że nie weźmie do ust papierosa.

– Wiesz, dlaczego nazywają ten kibel skocznia? – mały artylerzysta uśmiechał się dziwnie.

– Skąd mam wiedzieć.

– Jak będziesz się załatwiał na siedząco, to się dowiesz. Na ścianach w kabinie są uchwyty, żeby się przytrzymać i nie przewrócić. Chyba specjalnie taki kibel zrobili, żeby w nim za długo nie siedzieć. Marynarz ma tam tylko wejść, załatwić swoje potrzeby i zaraz wyjść – Paweł uśmiechał się.

– Zbudowali taki wielki okręt, a na porządną kibel żal im było pieniędzy – mechanik odezwał się cicho.

Mechanik był zawsze cichy, smutny, przygaszony. Nisko opuszczona głowa rzadko była podniesiona tak wysoko, by patrzeć prosto w oczy starym marynarzom. Gdy spojrzało się na jego twarz, natychmiast widziało się, że jest przestraszony. Szukał zawsze schronienia w cichym miejscu, gdzie mógł, jak większość młodej załogi, uciec przed wzrokiem matów i starszych marynarzy. Często brudny, a najczęściej widziany był przez najmłodszych marynarzy w drelichu. Po sprzątaniu w maszynowni miał zwykle lżej w obowiązkach na okręcie. Rzadko sprzątał korytarz, a mat Kos, gdy tylko była ciężka praca na pokładzie, zawsze się upominał o członka swojej drużyny. Cała załoga pokładowa mawiała wtedy, że udają zapracowanych w maszynowni ze szmatami w dłoniach. Maciek był wysoki, przystojny, brązowe oczy błyszczały czasami jak węgle, gdy schodził na pomieszczenie, szukając wzrokiem dowódcy swojej drużyny. Głęboki, niski głos, podobał się całej załodze. Wszyscy bardzo lubili Maćka.

– Powiedzcie mi, co jest za tymi drzwiami, obok kibelka – nawigatora wszystko interesowało.

– Ubikacja kadry. Marynarzom nie wolno z niej korzystać, chyba że jest sytuacja awaryjna. – Chemik poweselał trochę. – Oni mają normalną muszlę. Zobacz – otworzył stalowe drzwi.

– Rzeczywiście. Może będziemy mogli czasami z niej skorzystać?

– Możesz z niej korzystać, ale tylko wtedy, kiedy będziesz sprzątał rejon. W czasie rejsu nawet nie wolno wchodzić do toalety oficerów. Można dostać jakąś robotę. Bardzo źle patrzą na inną wizytację tego pomieszczenia niż w celu posprzątania – chemik nie zostawił żadnych złudzeń nowemu marynarzowi.

– Kim jest ten facet, który kazał mi robić przysiady? – nawigator był ciekawy, co powiedzą o macie jego koledzy.

– To jest właśnie mat, co ściga mechanika. Wszyscy się go boją. Nawet wicki i starsze baniaki. Wygląda na to, że mu się nie spodobałeś. Nie przejmuj się, starsze baniaki też mają przechlapane, jak wpadną Kosowi w oko – Ledki nie wyglądał na zadowolonego gdy opowiadał o Kosie.

– Przegonił cię trochę. Spociłeś się. Muszę ci powiedzieć, że dobry jesteś –